

Panowie Adwersarze stwierdzają, że obecnie istnieje konieczność przestawienia się na kierunek mięsny i mleczno-mięsny, bo takie kierunki z powodzeniem stosowane są w Europie. Wniosek taki w odniesieniu do ras mięsnych jest absolutnie słuszny. Co do określenia „owce mleczno-mięsne” istnieją jednak pewne niejasności. W dalszej części polemicznego artykułu zostało to jednak wyjaśnione: owca mleczno-mięsna powinna mieć dobrą wydajność mleczną (150-200 l w ciągu 200 dni laktacji), zadowalającą wartość rzeźną i tuczną (przyrosty dzienne 200-250 g), dobrą użytkowość rozplodową (1,5 jagnięcia odchowanego), asezonalną zdolność do rozrodu (3 wykoty w ciągu 2 lat), by poprzez regulowanie terminów wykotów uzyskać całoroczną produkcję mleka. Idea wspaniała, lecz jak na razie jest to mit. Jak tego dokonać? Bo za pomocą selekcji trudno będzie wyhodować mlecznego merynosa, któremu „bliżej” jest do poprawy cech rzeźnych i tucznych niż do 200-litrowej mleczności w 200-dniowej laktacji. Bez krzyżowania odpowiednio dobranymi komponentami może się to okazać syzyfową pracą. Autorzy pomysłu połączenia stosunkowo wysokiej jak dla owiec mleczności z zadowalającą wartością rzeźną i tuczną zdają sobie sprawę, że będzie to trudne i wnioskuje o „nasilenie prac hodowlano-selekcyjnych dla jak najszybszego uzyskania poprawy w tym zakresie”.

Zachodzi tylko pytanie: Po co tą okrężną drogą dochodzić do opłacalności chowu owiec? Czy nie prościej jest u naszych ras mięsno-wełnistych i mięsnych zająć się doskonaleniem cech rzeźnych i tucznych oraz cech rozrodu przy zachowaniu mleczności, pozwalającej na dobry i szybki odchów jagniąt, a użytkowanie mleczne prowadzić u wyspecjalizowanych w tym kierunku ras mlecznych?

Dla uzasadnienia swej koncepcji Autorzy powołują się na to, że kierunek mleczno-mięsny z powodzeniem stosowany

jest w Europie. Nie jestem globtroterem i nie znam owczarstwa całej Europy, ale w tej części, którą znam i w której chów i produkcja owiec, obok bydła, odgrywa ważną rolę gospodarczą, a ich pogłowie systematycznie wzrasta, nigdzie nie spotkałem się ze stadami o kierunku mleczno-mięsnym. Wszędzie tam produkcja owczarska oparta jest na rasach wyspecjalizowanych w kierunku mięsnym, a użytkowanie mleczne ograniczone jest wyłącznie do stad mlecznych owiec fryzyjskich i lacane. We Włoszech tamtejsze rasy owiec są dokładnie podzielone na rasy mleczne oraz mięsne i w tych kierunkach konsekwentnie doskonalone (z dobrymi wynikami!). Być może Autorzy mieli na uwadze kraje bałkańskie, w których ze względu na tradycje wszystkie prawie owce ogólnoużytkowe o produkcji kilkudziesięciu litrów mleka, po odchowie jagniąt (podobnie jak u nas w Karpatach) są dojrzone, jagnięta zaś sprzedawane na rzeź jako tzw. mleczne lub lekkie. Kiedyś w Bułgarii nawet importowane owce rasy ile de france próbowano doić. Nie oznacza to jednak, że są to owce mleczno-mięsne.

Kończąc tych kilka uwag do polemicznego artykułu „Inne spojrzenie...” proponuję, abyśmy w chowie owiec i produkcji owczarskiej zaczęli robić to, co już sprawdzone i daje szybkie efekty, a nie sięgali po trudne, a może i nierealne rozwiązania. Takie efekty daje specjalizacja w określonym kierunku produkcji – widzimy to w każdym gatunku zwierząt gospodarskich. U owiec obecnie jest to mięso lub mleko, a z tym drugim kierunkiem związana jest najczęściej dobra plenność i niektóre inne korzystne cechy rozrodu. Być może przyjdzie jeszcze czas na wełnę.

Julian Ciurus

„Wsparcie” dla polskiego rolnictwa w drodze do Unii Europejskiej

Henryk Lis

W dzienniku „Rzeczpospolita” 22 grudnia 1999 roku w dziale: Przedsiębiorstwa – Branża mięsna ukazała się publikacja Lidii Oktaby zatytułowana „Otworzyć unijne rynki”. Ponieważ zamieszczone tam stwierdzenia skłoniły mnie do polemiki, a Redakcja „Rzeczpospolitej” odmówiła wydrukowania załączonego tekstu, serdecznie dziękuję Redakcji „Przeglądu Hodowlanego” za jego przyjęcie.

Z artykułu w „Rzeczpospolitej” dowiadujemy się, że Smithfield, będący głównym udziałowcem Animexu, chce więcej eksportować polskiej wieprzowiny. 65-75 mln USD rocznie mógłby mieć Animex z wpływów ze sprzedaży polskiej wieprzowiny na rynki unijne i do USA. Nie ma ich, gdyż obecne przepisy uniemożliwiają eksport tego surowca. Dalej dowiadujemy się,

że staramy się zwiększyć wysyłkę za granicę mięsa i jego przetworów, ale rząd nie pomaga nam w tym – mówi Richard J.M. Poulson, szef rady nadzorczej Animex S.A., wskazując, że nie został przyjęty dokument stwierdzający, że nie ma pomoru świń. (Nie wiemy jaki dokument i kto go przygotował). Taki dokument mają już Czesi i Węgrzy. Dalej napisano „nie ma właściwej kontroli weterynaryjnej i sanitarnej w zakładach prowadzących ubój i przetwórstwo mięsa. Dotyczy to szczególnie 4500 małych i średnich firm, skąd pochodzi prawie 50% mięsa będącego w sprzedaży (...). – Przekażemy 25 tys. USD na przeprowadzenie badań wymaganych przez Komisję Europejską, by uznała Polskę za kraj bez pomoru świń. Chętnie spotkamy się z głównym lekarzem weterynarii kraju, by omówić plan realizowania tego pomysłu – proponuje Richard J.M. Poulson. Apeluje o zwiększenie liczby weterynarzy kontrolujących zakłady, gdyż w Polsce za nadzór ten odpowiada zaledwie 19 osób, podczas gdy w Czechach 60, a na Węgrzech – 50.”

Dowiadujemy się wreszcie, że „część mięsa znajdującego się w obrocie nie jest badana i zajmują się tym firmy nie spełniające wymaganych norm weterynaryjno-sanitarnych, największe zakłady wykorzystują swoje moce produkcyjne w 25 proc. Jeśli stan ten utrzyma się, będą one musiały zwolnić co najmniej kilka tysięcy pracowników”. Tyle napisała pani Lidia

Okta w „Rzeczpospolitej” o „bagienku”, jakie stanowią małe zakłady przetwórstwa mięsa, o złym rządzie, o dobrym sponsorze i jego przestrożach. Gdyby to była prawda, rzecz wymagałaby natychmiastowego zainteresowania całą sprawą nie tylko weterynarii i służb sanitarnych, ale chyba prokuratury.

Na jakiej podstawie i na czyich informacjach oparto te „re-welacje” nie udało się nam ustalić. Nie wiemy jak wyglądał nadzór weterynaryjny i co w tym zakresie robiono w 1999 r. Wynika to z faktu, że odpowiednie sprawozdania i informacje będą spływały do Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi z województw i powiatów w pierwszym kwartale 2000 roku.

Możemy jednak przywołać odpowiednie dokumenty i przypomnieć co działo się rok wcześniej, czyli w roku 1998. Polska wówczas miała również pewien porządek prawny. Miała administrację i odpowiednie służby, które pracowały i informowały o tym swoje komórki nadrzędne. Zauważmy więc, że w 1998 r. na terenie naszego kraju poddano ubojowi pod nadzorem weterynaryjnym 1 659 204 sztuki bydła, 234 998 cieląt, 18 187 372 świnie, 19 618 owiec, 1211 kóz, 30 146 koni i 118 857 nutrii. Działo się to w dużych, ale także w bardzo małych przedsiębiorstwach. Nie wspominamy o kilkuset milionach drobiu i zwierząt łownych, które również poddano badaniu san.-wet. Wszystko to jest udokumentowane i zapisane w sprawozdaniach, będących w posiadaniu Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi, które dotyczą wyników urzędowego badania zwierząt rzeźnych, mięsa drobiu, dziczyzny i królików za 1998 r. Natomiast w innym dokumencie, dotyczącym działalności i stanu sanitarnego obiektów w zakresie higieny artykułów żywnościowych pochodzenia zwierzęcego za 1998 r. zapisano, że skontrolowano 160 zakładów mięsnych, 79 chłodni składowych, 997 rzeźni (w tym 911 prywatnych), 1755 punktów uboju (w tym 1589 prywatnych), 2627 masarni (w tym 2443 prywatne), 821 miejsc sprzedaży mięsa na targowiskach.

Oceniano stan techniczny, stan utrzymania porządku i czystości, jakość wody i inne. Zły stan stwierdzono w 17 zakładach mięsnych, w 7 chłodniach składowych, w 97 rzeźniach, w 177 punktach uboju, 380 masarniach i 40 miejscach sprzedaży mięsa na targowiskach. Stanowiło to mniej jak 1% chłodni, około 10% zakładów mięsnych, rzeźni i punktów uboju, około 12% miejsc sprzedaży i ponad 14% masarni. W celu poprawy stanu sanitarnego wydano 590 decyzji administracyjnych, dotyczących zakładów mięsnych, w 318 przypadkach nakazano przerwanie produkcji i unieruchomienie zakładu. 774 decyzje administracyjne dotyczyły rzeźni, w tym 44 unieruchomienia zakładu, 1118 dotyczyło punktów uboju, w tym 58 przerwania produkcji, i 2239 decyzji dotyczyło masarni, w tym 218 przerwania produkcji. Nałożono ponad 4,5 tys. mandatów karnych i grzywien. Przeszkolono w zakresie wiedzy z minimum sanitarnego ponad 14 tys. osób zatrudnionych w wymienionych instytucjach.

Kilka zdań na temat statusu Polski jako kraju uznanego bądź nie za wolny od pomoru świń. Jest to choroba ciągle bardzo groźna dla tego gatunku zwierząt, wystarczy przypomnieć, że w Holandii w 1997 r. pomór świń zaatakował ponad 420 ferm, w wyniku czego musiano zlikwidować 12 mln świń i prosił. Od lat uczestniczymy w międzynarodowym obrocie zwierzętami oraz mięsem i produktami pochodzenia zwierzę-

cego. Wiązało się to zawsze z koniecznością spełniania określonych warunków weterynaryjnych, zwłaszcza dotyczących sytuacji epizootycznej kraju, który był eksporterem. Status kraju wolnego od danej choroby można było uzyskać, jeżeli choroba nie występowała na jego terenie, nie prowadzono szczepień zwierząt przeciw danej chorobie oraz potwierdzano ten fakt ujemnymi badaniami serologicznymi (badania monitoringowe) stosownego odsetka populacji świń. Byliśmy pierwszym krajem w Europie Środkowej, który system badań opracował i wprowadził. Ostatnie publikowane z tego zakresu materiały dotyczyły 1990 r., ukazały się w 1991 r., a obejmowały wyniki badań ponad 17 tys. próbek surowic krwi, pochodzących od świń z 48 województw, wykazały, że w żadnej z badanych surowic nie stwierdzono przeciwciał dla pomoru świń. Badania te powinny być kontynuowane w latach następnych, powinny obejmować nie tylko świnie, lecz i dziki, gdyż te ostatnie podejrzewane były o chorowanie na pomór świń.

Spełnialiśmy wówczas wymagania sanitarne, techniczne i technologiczne stawiane przez państwa importujące z Polski mięso i jego przetwory. Robiliśmy to na znaczną skalę, gdyż eksportowaliśmy tysiące ton szynki, mięsa i setki tysięcy zwierząt na rynki Europy Zachodniej i do innych państw.

Nagle z prasy w 1999 r. dowiadujemy się, że jesteśmy krajem nieudaczników i dyletantów, nie potrafimy niczego porządnie wykonać, nie mamy pojęcia o sprawach i rzeczach obowiązujących w przodujących państwach Unii Europejskiej. Dowiadujemy się, że mamy 4500 firm, z których pochodzi 50% mięsa będącego w sprzedaży, a które nie spełniają warunków san.-wet., nie badają zwierząt rzeźnych i mięsa, pozostają poza wszelką kontrolą.

Są to wszystko stwierdzenia krzywdzące i nieprawdziwe. Ilu lekarzy weterynarii wykonywało czynności urzędowe w zakresie nadzoru sanitarno-weterynaryjnego i badało zwierzęta, rzeźnie i mięso dowiemy się w pierwszym kwartale br., kiedy spłyną do Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi odpowiednie informacje. Zgodnie z rozporządzeniem ministra rolnictwa i rozwoju wsi dotyczącym badania zwierząt rzeźnych i mięsa obowiązek ten ciąży na posiadaczach zwierząt i powiatowych lekarzach weterynarii. Powiatów ziemskich mamy 208, a grodzkich – 64, skąd więc wzięła autorka publikacji w „Rzeczpospolitej”, że za nadzór sanitarno-weterynaryjny odpowiada w Polsce zaledwie 19 osób? Niech pozostanie to jej słodką tajemnicą. Czyżby reforma administracji, jaka weszła w życie od 1 stycznia 1999 r. aż tak zaszkodziła weterynarii, że praktycznie zawód ten przestał istnieć i cokolwiek znaczyć w tym, co urzędowych czynności dotyczy? Minister rolnictwa i rozwoju wsi, określający organizację weterynarii i wydający rozporządzenia dotyczące jej działalności merytorycznej chyba by na to nie pozwolił. Publikacja, chociaż tytuł jej sugeruje otwarcie rynków, służy w rzeczywistości ich zamykaniu. Jak można bowiem kupować cokolwiek w kraju, który nic nie wie co się u niego w danej branży dzieje? Niczego nie kontroluje i nie podejmuje działań, żeby zagrożeniom zaradzić? Dlaczego sami siebie ośmieszamy, dlaczego nie mamy szacunku dla tego co robiliśmy dobrze w przeszłości? Pytań byłoby znacznie więcej.

(Prof. zw. dr hab. Henryk Lis jest lekarzem weterynarii, epizootologiem)